№ 35. Warszawa, dnia 18 (30) Kwietnia 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7..
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

POWIEŚCI I OPOWIADANIA

Erckmann-Chatriana.

(studium literackie).

Tym, co z interesem śledzą rozmaite objawy ducha ludzkiego, dla których jakość i ilość, tych objawów jest normą oznaczającą postęp lub upadek umysłowy i moralny, chwila obecna smutne musi nasuwać uwagi i do pewnego doprowadzić zniechęcenia. Żaden umysł zdrowy nie przypuści na chwilę nawet, żeby ludzkość cofać się miała, ale to pewna, że żyjemy w epoce, że tak powiem, ugorowania, wypoczynku, że pokolenia młodsze noszą w sobie zaród mierności i przeznaczone są raczéj do zużywania i zastosowywania wielkich idei, aniżeli do ich tworzenia. Zdaje się, jakby ludzkość, wydawszy niezmierną ilość geniuszów wszelkiego rodzaju w krótkim stosunkowo czasie, potrzebowała odpocząć, i dla tego rodzi pokoleniu zdolne zaledwie tamtych dzieła przetrawiać.

Jakoż nie było może epoki tak płodnéj w wielkich ludzi wszelkiego rodzaju, jak koniec przeszłego, a początek bieżącego stulecia. Olbrzymie odkrycia w dziedzinie nauk przyrodzonych, para, elektryczność, rozwój chemii, nowy zwrot w historyozofii, ogromny przewrot w politycznych i socyalnych poglądach, arcydzieła poetyczne, wszystko to ludzkość zawdzięcza synom dawnéj epoki. Każdy naród dostarcza swój kontyngens olbrzymów i wziąwszy tylko literaturę, jednocześnie prawie żyje Goethe i Szyller, Walter-Scott i Byron, Lamartine i Wiktor Hugo, Puszkin, Mickiewicz, Krasiński i Słowacki, a Włochy rodzą Rossiniego. Między wszystkimi tymi ludźmi różnica wieku bardzo nieznaczna, wszyscy oni do jednéj należą epoki. A koło nich, cóż to za tłum znakomitości, których najskromniejsza jeszcze dziś świeciłaby blaskiem pierwszorzędnéj wielkości! Obok naszych trzech wieszczów stoją: taki Goszczyński, taki Pol, taki Garczyński, Zaleski, Odyniec i t. d. Wtedy byli oni na drugim planie; dzisiaj jakież to potęgi w porównaniu z młodym zastępem poetów!

Toż samo ma się z innemi gałęziami literatury, Nie ma drugiego Fredry, a choć powieść trzyma się jeszcze dzięki kilku piórom starszym i zdolniejszym, jakże ona niższa jest od epoki Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Rzewuskiego i innych!

Nie ma co, żyjemy w epoce przerażającéj mierności. Pracowników dużo, zadrukowanéj bibuły stosy, a dzieł talentu ilość nieskończenie drobna.

Ci nawet z poetów, którzy są poetami naprawdę, nie mają siły czy ochoty na coś większego się zdobyć. Ujejski coraz rzadziéj się odzywa, Sowiński obiecuje tylko, El-y nie często swą lirę bierze do ręki, innych parę poprzestaje na piosence od czasu do czasu. Mamy wprawdzie nawet poemata, ale lepiéj nie mówić o nich. Chłód albo zapał sztuczny, męki ubogiéj fantazyi, która torturowana przez autora dziwołągi rodzi, przerażająca emfaza a brak prostoty, zresztą ten chłód, jaki wieje z każdéj rzeczy na zimno robionéj, oto cechy większéj części utworów, które dzięki formie rymowéj, często nawet wybornéj, pod nazwą poezyi w świat dziś wylatują.

W literaturze dramatycznéj nie już mierność, ale pustki zupełne; humorystyka zjadliwa, ale nie dowcipna, negatywna, bo nie ma czego na miejsce słusznie wyszydzonych postawić. Nie lepiéj może się ma z powieścią. I ona upada. Trzech lub czterech starszych pisarzy podtrzymuje jeszcze jako tako dawną jéj świetność, kilka piór żeńskich i męzkich młodszych zdobywa się czasem na rzeczy niezłe, ale znakomitych utworów téj wartości, jakie się lat temu dwadzieścia jak z rogu obfitości u nas sypały, nie ma.

Za to lichot z ogromną pretensyą, gdzie ubóztwo wyobraźni walczy o lepsze z nieznajomością elementarnych warunków budowy, bez liku. Trudno, boleśnie to, ale epoka nasza jest epoką mierności i bezsilności w literaturze. Ciekawe byłoby niezmiernie studyum nad temi etapami, jakie przeszliśmy w ciągu krótkiego peryodu czasu, by z wyżyn epoki Adama zejść na dzisiejsze pustkowia, ciekawe i pouczające przedewszystkiém wyjaśnienie prawdziwych przyczyn tego upadku, który zresztą u nas cięższy i widoczniejszy, dotknął jednak cały świat cywilizowany.

Wszędzie ubóstwo wielkich myślicieli i wieszczów — ale gdzie indziéj umieją przynajmniéj wielkie idee popularyzować, umieją formą, zręcznością zastąpić słabość treści, umieją w pewnych kierunkach niższych dochodzić do mistrzowstwa, gdy u nas bezsilność i bezpłodność występuje w całéj swéj nagości.

Jednym zaś z jéj najdobitniejszych dowodów i objawów jest ta powódź tłómaczeń, jaka nas zalewać zaczyna. Pamiętamy niedawne te czasy, gdy żadne szanujące się pismo nie byłoby się odważyło przekładami miernych gawęd zapełniać swych kolumn.

Dziś inaczéj. W dodatkach, w odcinkach, w pismach illustrowanych i politycznych widzimy tłómaczeń więcéj może niż oryginalnych utworów; teatra żyją tylko tłómaczeniami, dwa czy trzy osobne wydawnictwa tém się tylko trudnią.

Broń Boże, bym radził się zamknąć we własnéj skorupie lub nie wiedział, że niestety! wszystkiego nam się od obcych uczyć wypada. Owszem, każdy przekład porządnéj książki, choćby nawet, belletrystycznéj, uważam za usługę wyrządzoną społeczeństwu; ale podawać przekłady jako codzienną strawę publice, zapełniać niemi pisma peryodyczne, psuć papier i druk na rzecz bez głębszéj wartości to mi się zdaje i niestosownêm i upokarzającém.

Więc życie nasze wewnętrzne, więc dramata serca odgrywające się u nas, w téj saméj liczbie co wszędzie nie dają dostatecznego materyału, czy też takie jest ubóztwo talentów, że nie ma komu zapełnić tych kilkunastu pism, które wychodzą? Zresztą, jaki z tego rezultat? Zapewne, znakomita powieść będzie równie zrozumiałą, zajmującą i piękną dla Francuza, Anglika, jak Niemca lub Włocha, bo człowiek jest wszędzie człowiekiem, — ale takich arcydzieł nie wiele, a powieści zadaniem, malować własne życie i te analizować prądy, które najbliżéj dotykają czytelników.

Zobaczcie poważne pisma francuzkie, niemieckie, angielskie. Wyjąwszy specyalnie temu poświęconych, drukują one niezmiernie rzadko przekłady. To jednak bynajmniéj nie przeszkadza, że wszystko co się ukaże w jednym języku, tłómaczone bywa na inne, ale nie wtłaczane *par force* w zastępstwie prac oryginalnych. Objaw ten nie dosyć może zauważany, jest po części skutkiem spekulacyi wydawców, ale dowodzi niemniéj, że ruch umysłowy gaśnie i przycicha, że siły własne nie wystarczają potrzebom czytającéj publiczności, że brak talentów, umiejących oryginalnemi pracami zapełnić zimowe wieczory. Smutny to fakt, ale nie tu miejsce rozwodzić się nad przyczynami i skutkami jego. Chciałem go tylko zaznaczyć jako istniejący, a zarazem dać jeden choć dowód, jak ta niebezpieczna sama przez się gorączka przekładów, szkodliwszą się jeszcze staje przez fałszywy wybór rzeczy tłómaczonych.

Gdy oto bowiem w pierwszorzędnych pismach warszawskich spotykami się z miernemi, blademi, bez żadnéj dla nas doniosłości romansami nowéj szkoły niemieckiéj (*); gdy wszystkie prawie procesa kryminalisty Gaboriau gorączkują sen naszych obywatelek, gdy Gubrynowicz i spółka, daje takie śliczności jak *Dygnitarze* i t. d. jeden z najoryginalniejszych, najbardziéj utalentowanych najuczciwszych pisarzy francuzkich jest u nas prawie nieznany. Mówię tu o powieściach a raczéj opowiadaniach Erckmann-Chatriana, z których znacznéj liczby, dotąd o ile wiem kilka większych utworów drukowano w „Gazecie Warszawskiéj,“ parę drobnych obrazków w innych czasopismach a w Poznaniu ukazała się jedna nowella p. t. *Historya nauczyciela wiejskiego*.

Czy nazwisko to jest przybrane czy prawdziwe, czy ono oznacza spółkę czy jednego autora, gdzie i kiedy się ten autor urodził, z kim ożenił i t. d., nie umiem czytelnikowi powiedzieć. Zdaje się być Alzaczykiem z pochodzenia, bo w Alzacyi się dzieją wszystkie jego powieści, jest prawdopodobnie dziecięciem ludu, bo go zna do gruntu i kocha, przedewszystkiém zaś jest pełnym talentu, zdrowych i uczciwych zasad pisarzem, zajmującym dla czytelników najwykwintniejszego gustu, interesującym i zrozumiałym dla najprostszéj inteligencyi: a że tak jest, tego dowodzi znaczna ilość edycyj, jakiemi się dzieła jego cieszą. W ciągu lat kilku niektóre z nich miały po kilkanaście do dwudziestu wydań, a dziś gdy Alzacya zabrana została, mają one większy jeszcze pokup i powodzenie.

Erckmann-Chatrian stworzył nowy rodzaj powieści, i jest jedynym w swoim rodzaju. Nie są to może nawet powieści, ale opowiadania, które autor zwykle w usta bohatera kładzie. Bohaterem tym jest chłop alzacki, przemysłowiec mały, wiejski muzyk, nauczyciel, proboszcz zapadłéj gdzieś w górach wioseczki, żyd zresztą. Romans zajmuje tu zwykle niewiele miejsca, tak jak rzeczywiście nie jest on wszystkiém w życiu warstw pracujących ciężko. Nikt tu nie znajdzie śladu przesady i owego niezręcznego poetyzowania ludu. Na pozór autor fotografuje tylko to społeczeństwo, maluje to życie ciche, jednostajne, poziome, którego jedynemi żywiołami zdają się być praca i spoczynek. Są to jednak fotografie poety. W tych postaciach prostych, szorstkich, ograniczonych, autor umie odkryć strony prawdziwie wzniosłe i poetyczne. Zna on lud do głębi, zna jego wady, śmieszności, błędy, przesądy, ale zna i serce, i to, co się zowie u nas rozumem chłopskim.

W tych opowiadaniach wypadków niby codziennych, przez ludzi, których pogląd nie przechodzi granic wioski lub parafii, co chwila spotykamy sceny naturalne, niby zwykłe, a jednak wzruszające swą głębokością i siłą, lub przerażające grozą dramatyczności.

Nie umiem wskazać żadnéj w naszéj literaturze powieści dla porównania, bo choć u nas utalentowani nawet pisarze szukali żywiołów i treści wśród ludu, nic jednak podobnego nie ukazało się do opowiadań francuzkiego pisarza. U nas poeta umalował lud imaginacyjny, idealizował go i podnosił, u Erckmanna lud ten spowiada się szczerze ze swych cierpień i radości, ze swych poglądów, pragnień i ze swych marzeń. W znanych powieściach ludowych naszych i obcych, były dotąd typy ludowe możliwe, prawdopodobne, ale wyjątkowe, w Erckmanna opowiadaniach staje lud cały, z krwią i kośćiami, nie w jakichś wyjątkowych okolicznościach, ale w codziennych warunkach i utrapieniach. Prawda tu żywcem schwycona dziwną plastycznością i znajomością szczegółów, prostotą porywająca, znajomość niezmierna malowanych warstw ludu, i wielka umiejętność uwydatniania każdego drgnienia tych serc prostych, każdego z tych procesów, jakie się w nieokrzesanych mózgach odbywają, tych wszystkich sprężyn, jakie poruszają owemi ludźmi.

(*d. n.*)

(*) Nie wiemy jaki szereg pisarzy autor „nową szkołą” nazywa. Jeśli ma na myśli Auerbacha, Spielhagena, Heysego i Hackländera, czujemy się w obowiązku zaprotestować przeciwko takiemu ocenieniu najznakomitszych przedstawicieli nowożytnego romansu.

(*Prz. Redak.*)

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy. Ob. Nr. 34*).

— Ba! oto mospanie noc... ona chce koniecznie jechać... dać jéj konie... Zygmunt niech na kozieł siada za furmana... waćpan za służącego... wieźcie ją do domu... Gdy on tam raz będzie, a padnie jéj do nóg—chybam nie szlachcic, żeby się nareszcie nie rozczuliła i nie przebaczyła, a nie pozwoliła mu zostać... Niech, mospanie, własną żonę wykradnie... innéj rady nie ma...

Borodzicz się zaśmiał tylko.

— Trochęś sobie w czubek nalał! rzekł do Mioduszewskiego... to się na nic nie zdało.

— Według mnie jedyna rada! dodał upierając się stary... Jeżeli to nie pomoże, to nic w świecie.

— A cóż zrobicie ze stryjem Eligim?

— To sęk! zawołał Mioduszewski—jabym go spoił, tak żeby zostać musiał...

— A ona sama nie pojedzie!

— Dla czego? przerwał stary—myślisz, że się czegokolwiek w świecie boi? Ona? ha! ha! Byle dobrze rzecz się ukartowała.

— A no, i Zygmunt nie wiem czy się na to ważyć będzie...

— Ja przy mojém stoję—a no, pierwsza rzecz —co będzie to będzie, na wszelki przypadek, chodź asindziéj zemną, żeby Eligiego upoić... Ten zieleniaczek, który oni tu leją nam w gardła, zdrowy i dobry, lecz bodaj za słaby... Spodziewam się, że w tak wielkiéj i ważnéj potrzebie wojski mi kilka butelek starego miodu nie odmówi...

Stryj Eligi stał sobie skromnie w kątku z lampką tego zieleniaczka, gdy Mioduszewski do niego przystąpił, ujął go w pół i szepnął mu na ucho:

— Co ty będziesz pił tę lurę? wyléj precz za okno; ja ci coś takiego dam—palce oblizywać powiadam ci! Ale to dla uprzywilejowanych tylko dają. Chodź...

Stał już w pomoc Borodzicz... Poszli razem w kątek... Eligi się uśmiechał, choć zafrasowany.

— Panie Mioduszewski, zawołał na ucho mu szepcząc, a był już odrobinkę cięty: co to z tego będzie? Wszak on do Elżusi gadał, ona jemu odpowiadała! I w tańcu z nią szedł!

— No, to cóż? odparł stary—to co? Nic—kobieta stateczna nie chce awantur żadnych robić... Przy tylu oczach!.. Jakże inaczéj miało być. dla tego, że się z sobą rozstali, to już mówić do siebie nie mają? hę!

— A to prawda! rzekł Eligi—cmokając nalany miód—przedziwny!

Mioduszewski zagadał stryja, począł co innego, opowiadał dykteryjki... rozśmieszył go... rozruszał, nie zapominając dolewać. Wypili tak jedną, wypili drugą... przy téj Eligi choć się jeszcze uśmiechał, ale już drzemać zaczynał. Zdrajca stary budził go, wmawiał mu, że nie pije, zaklinał, zmuszał i około połowy trzeciéj butelczyny dokazał tego, iż stryj już przebudzić się nie dawał wcale... Posadzono go w kątku tak aby sobie spokojnie mógł chrapać—a niezmordowany Mioduszewski poszedł najprzód o koniach radzić, będąc pewien, że Piętka się zgodzi na to porwanie... Borodziczowi się to nie podobało, wszakże nie opierał się.

Z końmi było dosyć trudno, o wydanie koła z lamusa musiał chodzić aż do wojskiego i całą mu rzecz *sub rosa* tłómaczyć, że szło o tak wielką sprawę jak o pogodzenie małżeństwa. Zapalono latarkę, dostano kluczów, dobrano jakoś koło, ludzie jejmości byli w istocie pijani tak, że z nimi jechać ani myśleć... Gdy wszystko przygotował, stary wrócił do dworu i począł Zygmunta szukać. Ten jeszcze stał na straży, gdyż jejmość dotąd nie wyszła z pokoju panny młodéj, choć tam pani Bartochowska około tego pracowała, by na pokoje wróciła.

— No—posłuchaj Zygmuncie, rzekł Mioduszewski:—chcesz ryzykuj się, albo starosta, albo kapucyn... rady nie ma! Ona siebie i ciebie rok jeszcze będzie tak ciągnęła daremnie... nie mogąc się zdecydować... Waż się na śmiały krok... jeśli chcesz.

— Na jakiź? zapytał Piętka.

Mioduszewski począł mu szeptać na ucho...

W Zygmuncie stary niedogasły szaławiła się odezwał—uśmiechnął się — lecz zawahał w prędce...

— A jak się pogniewa? jak mnie wypędzi? Nie wolęż ja rok jeszcze czekać, niż na wieki zostać odegnanym i pogniewać ją znowu?

— No—ja tam nie wiem, rób jak chcesz—odparł Mioduszewski trąc łysinę—wola twoja—mnie się zdaje, że ona temu gwałtowi będzie rada! Rozmyśl się—niechcę brać na sumienie nic... konie gotowe...

Zygmunt chciał i wahał się.

— A stryj Eligi?

— Nie ma go sposobu wziąć, leży jak kłoda, daliśmy mu starego miodu, ani ręką ani nogą...

— Probuj pan—westchnął Piętka—ja na koźle w opończy siądę... wola boża...

Stary jak skoro posłyszał, że się godzi, pobiegł szukać Bartochowskiéj,—ale przed tą ani przed nikim zwierzać się nie myślał.

— Prowadź no mnie asindźka do pani Piętkowéj, mam na sumieniu że tak cierpi, może ja co na to poradzić potrafię.

Przeprowadzony przez Bartochowskę, Mioduszewski wszedł do pokoju w którym pani Piętkowa z głową opartą na ręku siedziała.

— Królowo moja — co asindzce jest? zapytał prawie przyklękając.

— Trochę jestem zmęczona—wstydząc się i rumieniąc odrzekła Piętkowa; odwykłam od takich hucznych zgromadzeń i...

— Czy się pani na niego bardzo gniewasz? On tam sobie łba nie rozbije z rozpaczy... a ja też!

Elżusia spojrzała nie bardzo tak gniewnie, a smutno.

— Do czego się to wszystko zdało? rzekła—on sie nigdy nie poprawi — ja serca dla niego mieć nie będę... wszystko to daremne.

— Królowo moja! dalibóg, nie tak jest! on się zmienił: poprawił do niepoznania, a asindźka go kochasz... to święta prawda...

Porwała się z siedzenia Elżusia, popatrzyła na starego—i—rozpłakała się—a trzeba wiedzieć, że choć czasem przez słabość niewieścią łzę jaką miała w oku, płakała bardzo rzadko.

Mioduszewski zrozumiał co to znaczyło.

— Wiesz, moja królowo, co... będziesz się tu nadaremnie męczyła nie bawiła... prawda że ludzie napili, a no ja woźnicę doskonałego dostałem... służący się znajdzie... jeśli wola wasza... wracajcie do domu, cóż już począć!

Pani Piętkowa, jak gdyby jaką zdradę przeczuwała, żywo popatrzała na Mioduszewskiego, w którego oczach czytać chciała; lecz stary taką na ten raz twarz sobie poczciwą, niewinną wyrobił, tak się jéj wydał prostodusznym, że jeśli miała podejrzenie jakie, i to znikło.

Widocznem było że Elżusia—i wstydziła się powiedzieć, że mogłaby zostać, i jakoś nie ochotnie do drogi się wybierała, i wydać się z tém niechciała przed Mioduszewskim.

— Konie będą, za ludzi ja ręczę... jeśli wola wasza...

— A stryj Eligi?

— No — tego wypadnie tu do jutra zostawić, chyba ja go odwiozę, bo śpi, i to takim snem twardym...

— Cóż to jest?

— Nic, rzecz bardzo zwyczajna... trochę się starego miodu napił... To mu nie zaszkodzi. W tym stanie jednak, w jakim się znajduje, czterech ludziby trzeba, aby go do powozu wsadzić, a dwóch może, coby trzymali potém w drodze.

— Więc ja mam jechać sama?

— Dwóch ludzi pewnych, za których ja gardłem ręczę...

Spojrzała mu w oczy niedowierzająco.

— Czym kiedy zdradził?

— Dla czegoż mnie teraz wyprawiacie, gdyście wprzódy radzili sami, ażebym została?

— Bom sądził, królowo moja, że to się wszystko inaczéj złoży, że asindźka dasz się skruszyć... przebłagać... a jeśli masz tu popłakiwać w kątku, do czegoż się to zdało?

Elżusia myślała... wahała się, przeszła się po pokoiku i sama do siebie jakby wykrzyknęła:

— Nie—nie! do domu! do domu!

— Czekajże, królowo moja, aż przyjdę dać znać, że wszystko gotowo... Nie zabawię! zawołał Mioduszewski...

Słychać było w cichym tym pokoiku pełnym jeszcze przyborów, które Ignasi służyły do ślubnego ubrania, muzykę dochodzącą z sali, śmiechy wesołe starszyzny przy kieliszkach i śpiewy do tańca. Elżusia ze łzawemi oczyma chodziła jakby pasując się z sobą. To zwieszała głowę na piersi... to do góry ją podnosząc—powtarzała znowu;—Nie! nie! Nikt jéj nie widział; łamała ręce... stawała... Myśl snadź przechodziła wszystkie następstwa przebaczenia i rozstania... przyszłość wdową i we dwoje... Gdy Mioduszewski ukazał się na progu, gorączkowo uciekając od domu tego, do którego coś ją zdawało się ciągnąć... rzuciła się ku niemu i w milczeniu dobiegła do kolebki... Borodzicza, który rękę jéj podał do wsiadania, nie poznała... padła w głąb powozu.

Konie ruszyły... Dwór oświecony rzęsisto, w którym kipiało weselem, został wkrótce daleko... bo konie ujęte silną i wprawną ręką biegły coraz przyśpieszając kłusa... Była może godzina pierwsza z północy... trzy mile dzieliły wioskę Piętków od majętności wojskiego... Zwykle trzeba było na przebycie téj drogi półtrzeciéj godziny... teraz, mimo nocy, któréj gwiazdy przyświecały... mimo nie zupełnie dobrych dróg, starczyło dwóch godzin na przebieżenie jéj. Zaczynało się zbierać na dzień, gdy wioska, do któréj jechali, ukazała się z dala w mroku... Elżusia niespokojnie wyglądająca co chwila, mogła dostrzedz dwór... w którym światła nie było nigdzie... wieś spała... Na wschodzie jakby łuna zielonawego światła przecięta chmurami szaremi rozszerzała się powoli, gwiazdy bladły i znikały. Wjechali do wsi... Cisza i sen w niéj królowały jeszcze, koguty piały tylko po chatach... i rżały konie gdzieś w stajenkach obudzone. Bramy do dworu nie było komu otworzyć... Borodzicz, który udawał sługę, zlazł z kozłów.— Elżusia wychyliła się pytając:

— Jakto? jużeśmy w domu?

— Tak, pani dobrodziejko...

Poznała go po głosie.

— A! to pan!

— Tak jest... chciałem być pewien, że bezpiecznie woźnica ją odwiezie...

— O mój Boże! to pan? powtórzyła powtórnie Elżusia...

Borodzicz tymczasem wrota otwierał, i pośpieszył na kozieł, bo tu rola nieszczęśliwego woźnicy, rola niebezpieczna rozpocząć się miała...

(d. n.)



Koncerty pp. Dawydowa i Wurma. — Ogólne zgromadzenie towarzystwa muzycznego. — Koncert p. Władysława Żeleńskiego. —

Koncerty w tym roku przez całą zimę jak muchy, widać, gdzieś w szparach siedziały, bo bardzo w niewielkiéj ilości się ukazywały. Dopiero z rozpoczęciem wiosny, razem z ciepłem obficie sypać się zaczęły. Zwykle to bywa inaczéj i zimą najwięcéj się ich zdarza, lecz za to w tym roku postępują one zgodniéj z naturą, bo i ona z wiosną się ożywia i koncertami swemi świat Boży napełnia. Wprawdzie te ostatnie odbywają się *gratis*, ale też i nie narażają koncertantów w razie małego zgromadzenia słuchaczów na pokrywanie wydatków z własnéj kieszeni. I tę jeszcze przewagę one mają nad pierwszemi, że nie podlegają krytykom i recenzyom, które nie zawsze znakomity desser dla koncertantów stanowią. Ale każde stanowisko ma właściwe sobie korzyści i niedogodności. Za to koncertanci muzyczni nasycają się hukiem zasłużonych i niezasłużonych oklasków, o których słodyczy upajającéj śpiewacy leśni ani pojęcia nie mają, i które by ich niezawodnie spłoszyły. A jeżeli o muzyku krytyka nie dość pochlebnie się odezwie, toć i na to jest środek. Wtedy koncertant przy pomocy swych przyjaciół z piórem obeznanych, wystylizuje do którego z pism peryodycznych artykuł krytyczny, w którym siebie pod obłoki wyniesie, współzawodników z błotem zmięsza, wszystko to ścisłym anonimem zabarykaduje i już mu lżéj na sercu i weseléj, bo wyobraża sobie, że to od kogoś usłyszał. A wiadomo że artyści mają bujną wyobraźnię, więc się bawią niekiedy jak dziatki w gości. Otóż po koncertach w ostatnim naszym przeglądzie opisanych nastąpił koncert dwóch artystów z Petersburga do nas przybyłych: pp. Dawydowa i Wurma. Dali oni u nas dwa koncerty: pierwszy 12-go kwietnia w sali resursy obywatelskiéj, drugi zaś 17 kwietnia w wielkim teatrze. Pan Dawydow gra na wiolonczeli, pan Wurm zaś na trąbce chromatycznéj (cornet à piston).

Pan Dawydow dał się nam poznać jako wykonawca i jako kompozytor. Pod obu względami bardzo zaszczytnie się zalecił. Gra jego jest pełną zalet bardzo pożądanych. Mechanizm nie jest swą potęgą zadziwiającym, bośmy już potężniejsze spotykali, ale jest zupełnie dostatecznym do wykonywania wszystkich utworów, które pierwszorzędnemu wiolonczeliście wykonywać godzi się i należy. Czystość wielka, smyczkowanie szerokie, szlachetność i niepospolita siła tonu, a nadewszystko wysoka inteligencya w zgłębieniu i w zacném pojęciu każdego utworu, czynią z pana Dawydowa wiolonczelistę, jakiegośmy oddawna nie słyszeli. Słuchanie téj gry podniosłéj, szlachetnéj jest przekonywającym dowodem wyższości ducha nad materyą. Znamy przecie grę na wiolonczeli pod względem mechanizmu i ognia wyższą bez porównania od gry pana Dawydowa, a jednak ona żal tylko wzbudza, że tak wielkie i rzadkie przymioty gnuśnie marnieją, nie będąc zasilone światłem inteligencyi artystycznéj. Nie-

którzy jako zaletę uważają w grze pana Dawydowa to, że się nie upędza za sentymentalizmem. Téj zalety przyznać mu nie możemy, gdyż raczéj byśmy jako zarzut mu postawili zbyt małą dozę uczucia i zapału. Jeżeli za zaletę trzeźwość w śpiewie mu poczytamy (jak się ktoś z oceniających go wyraził), to w takim razie głębokość i siłę uczucia wypadałoby nazwać upojeniem, szałem. Ale tak nie jest przecię, bo trzeźwość nie wyłącza uczucia, równie jak upojenie nie pociąga go za sobą. Otóż gra pana Dawydowa za mało uczucia posiada. Możnaby je znakomicie powiększyć bez obawy wpadnięcia w sentymentalizm, który nie jest wyrazem potęgi uczucia, lecz raczéj jego niemocy i zwichnięcia. Czy p. Dawydowowi istotnie na uczuciu zbywa, czy też jest to tylko obrachowaną powściągliwością — trudno odgadnąć, ale w każdym razie brak ten pozbawia go prawa zwycięzcy zupełnego. Pan Dawydow, jako artysta prawdziwy, nie zamyka się w ciasném kółku kompozycyi Servais'go, będących dla wielu alfą i omegą, ale programy swe układa z kompozycyj najrozmaitszych autorów i nie czuć u niego tego ubóztwa kompozycyi na wiolonczelę, na które inni wiolonczeliści tak wyrzekają. Widać innym chodzi głównie o kompozycye silnie efektowe i o drażnienie nerwów słuchaczów, nie zaś o wzbudzenie uczuć szlachetnych i myśli głębokich a poważnych. Tém bardziéj więc za ten kierunek pan Dawydow na pochwałę zasługuje. Jakby na przekorę zwyczajowi przez innych wiolonczelistów przyjętemu p. Dawydow na obu koncertach grał jedną tylko kompozycyę Servais'go: „Fantazyą charakterystyczną.“ Pominął wszystkie „Lestoque'i,“ „Sehnsuchtswalzer'y“ i t. p. szychowe świecidełka, za co mu szczerze byliśmy wdzięczni.

Jako kompozytor pan Dawydow bardzo też świetnie się nam przedstawił. Oprócz dwóch mniejszych rozmiarów kompozycyj („Am Springbrunnen“ i „Solitude“), dał nam słyszeć swój „Koncert“ (A miękkie) z towarzyszeniem orkiestry. „Koncert“ ten zdradza nietylko dobrego wiolonczelistę ale i wytrawnego a głębokiego muzyka. Nie poświęca on myśli muzycznéj olśniewającym efektom głównego instrumentu, lecz przeciwnie, stara się cały utwór traktować symfonicznie. Najlepszym tego dowodem są w pierwszém Allegro owe trójki tak długim szeregiem się ciągnące, bardzo trudne do wykonania i bynajmniéj nie efektowe, lecz niezbędnie do przeprowadzenia głównéj myśli kompozycyi potrzebne. Nie małą też trudność stanowią a wybornie były wykonane oktawy przy końcu tegoż Allegra.

Allegro to wydało się nam zbytecznie przeładowaném fermatami. Drugie Allegro może mimowolnie, ale zapożyczoném jest od Mendelssohna. Instrumentacya w całym „Koncercie“ jest bardzo umiejętna i staranna.

W tém miejscu powiedzieć nam wypada, że podczas wykonania tego „Koncertu“ orkiestra haniebnie koncertanta za poły przytrzymywała. Dziwimy się że tak doświadczony dyrektor jak pan Münchheimer mógł tak źle dyrygować. A dyrygował nielitościwie, bo nieubłaganą (nawet zżymaniem się koncertanta) powolnością tempa całą doniosłość intencyi kompozytora sparaliżował.

Pan Dawydow posiada niepospolitéj wartości wiolonczelę. Jest to wiolonczela historyczna. Była ona przedtém własnością hrabiego Wielhorskiego, który oświadczył że ją daruje temu wiolonczeliście, który najlepiéj wykona *siódmy* koncert Romberga. Przy całéj więc swéj wartości bezwzględnéj, jest ona dla pana Dawydowa zarazem i nagrodą konkursową.

Pan Wurm jest także w swoim rodzaju osobliwością, lecz bynajmniéj nie znakomitością. gra on na trąbce chromatycznéj zupełnie inaczéj jak wszyscy wirtuozi na tym instrumencie. Trąbka w ustach pana Wurma wydaje głos wcale odmienny od głosu, jakiśmy zawsze w trąbce spotykać przywykli, a który jest jéj wyłączną i konieczną własnością. Trąbka pana Wurma niema wcale owéj trzeszczącéj chrapowatości w brzmieniu, lecz ton miękki łagodny. Według nas jest to osobliwością lecz nie zaletą, gdyż pozbawia ją właściwego charakteru. I bardzo wątpimy czy trąbka taka przydatną byłaby w orkiestrze, gdzie kompozytor na tę mianowicie właściwość jéj dźwięku efekt obliczył. Gra pana Wurma jest zawsze miękką, łagodną, pieszczotliwą; brak jéj kontrastu, to jest: siły: Z tego więc powodu przy dłuższém słuchaniu wydaje się mdłą a nawet ckliwą, nie mniéj wszakże ze względu na swą sztuczność zadziwiającą. Pan Wurm ma śliczne zadęcie i w obu koncertach raz tylko jeden (w fantazyi ze „Stradeli“) i to w jednym tonie dosłyszeliśmy lekkie chrapnięcie, który technicznie *gąsiorkiem* nazywają. Program p. Wurma składa się z samych przeróbek, transkrypcyj a niekiedy stereotypowych waryacyek. Bardzo zajmujący efekt wywarło w pierwszym koncercie wykonanie śpiewu Glinki p. t. „Wątpliwość“ na wiolonczeli i trąbce unissono. Było to ze strony trąbki aktem abnegacyi i poświęcenia, gdyż utonąwszy całkiem sama w dźwiękach wiolonczeli, wzniosła tę ostatnią do ogromnéj potęgi tonu.

Śpiew p. Johnson w pierwszym koncercie wcale na krytykę nie zasługuje, a nudna vocaliza p.t. „Ah! se tu dormi“ tylko do snu słuchaczów skłaniała.

Na drugim koncercie pana Miller-Czechowska dwa śpiewy wykonała. Pierwszy z nich, jakaś nieznana nam arya włoska, którą, nie wiemy z jakiego powodu, kawatyną z „Semirady“ ochrzczono, był najniefortunniéj do głosu śpiewaczki wybrany i równie niefortunnie wykonany. Drugi zaś Beethovena „In questa tomba oscura“ naprawił po części wrażenie przez pierwszy wywołane.

W dniu 14 kwietnia odbyło się, tak zwane, Ogólne Zgromadzenie Towarzystwa Muzycznego. Dodajemy *tak zwane* bo zaledwie siódma część członków na nie się zebrała. Jużto pod względem dbałości i troskliwości o sprawy pu-



WIECZÓR

Rzeźba Profesora Schillinga z Drezna. (Patrz Nr. 9 i 20.)

bliczne jesteśmy jedyni! To tylko za rzecz ważną każdy uważa, co go bezpośrednio dotyczy i chleb mu daje powszedni, a co nas ma obchodzić rzecz ogółu się tycząca! Niech o tém sobie inni myślą: my wolimy przyjść do gotowego. A jeżeli to gotowe złém znajdziemy, to przynajmniéj nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia. Całą winę zwalimy na tych co tak źle uradzili.“ I tak każdy mówi, a przynajmniéj myśli. Otóż w skutek takich zasad, z *tysiąca dwóchset* członków zaledwo *sto sześćdziesiąt sześć* na Ogólne Zgromadzenie się zeszło. A jednak warto było parę godzin czasu poświęcić, bo się roztrząbył i złym sam przez się, to w każdym razie zastanowienie się nad nim przy starciu się zdań sprzecznych bardzo byłoby korzystném. Ale znalazły się osoby, które przed rozpoczęciem obradowania zbierały kontr-podpisy w celu niedopuszczenia wniosków podanych pod dyskussyą ogólną. Lecz zdrowy zmysł ogółu milczeniem te kontr-wnioski pominął. Znaleźli się nawet przeciwnicy głosowania tajemnego. Ale ta partyjka natychmiast zgłuszoną została i głosowanie tajemne na zawsze do obrad Towarzystwa wprowadzono. Wnioskodawcy mieli słuszność za sobą, lecz zwycięztwa zupełnego odnieść nie mo-

W ogóle cały przebieg dość burzliwego posiedzenia, znajdowanie się niektórych członków wykraczające po za granicę najelementarniejszego parlamentaryzmu,—dowodzą że wiele nam jeszcze wyrobienia potrzeba, abyśmy nad najprostszą rzeczą obradować mogli.

(*d. n.*)



Salony XVIII wieku w pałacu dawniéj Słuszków.

sały rzeczy ważne i szło o zwalenie zardzewiałych pojęć rytynistów, dla których status quo jest zawsze rzeczą nietykalną. Nie tu miejsce na roztrząsanie całéj téj sprawy, powiemy więc tylko w krótkości, nie wchodząc w szczegóły, że dwudziestu pięciu członków (*), chcąc zaradzić wadliwości ustawy i organizacyi Towarzystwa, podało na piśmie projekt zmian proponowanych żądając poddania go ogólnéj dyskussyi i głosowaniu. Zdaje się że chociażby projekt podany gli, bo słabo swych twierdzeń bronili. A raczéj, jak dokładnie wiemy, obrońca przez nich zawczasu wyznaczony, w ostatecznéj chwili ze swego stanowiska się cofnął. W każdym razie przekonano się, że wnioski podane nie były zbyt płochemi i błahemi, kiedy w obec zupełnego braku obrony, po głosowaniu okazało się, że brakło tylko dziesięciu głosów, żeby zwycięztwo odniosły. I jakkolwiek wnioskodawcy porażkę ponieśli, niemniéj jednak myśli przez nich podane kiełkować w pomysłach wszystkich członków zaczęły i kto wie jaki plon na przyszłe zgromadzenie ogólne wydadzą.

(*) Jako smutne curiosum zaznaczyć musimy, że z grona ich sześciu podpisy swe cofnęło.

KORESPONDENCYA.

Florencya, w Kwietniu 1872.

(*Dokończenie. Ob. Nr. 34*).

Na zakończenie téj rubryki zapisujemy tu, że w ostatnich dniach karnawału trzykrotnie była przedstawiona *Aida* w teatrze medyolańskim *La Scala*, dokąd osobiście udał się jéj autor, Verdi. Na pierwszém przedstawieniu 30 razy wywołała go publiczność na scenę wśród oklasków nieustających, a wielbiciele jego talentu ofiarowali mu

złotą laskę do dyrygowania orkiestrą, wysadzoną dyamentami. W sezonie wiosennym opera ta ma być przedstawiona w tutejszym teatrze *Pergola* i melomani florenccy z niecierpliwością wyczekują tćj uroczystości.

O ile wyrozumieć mogłem z recenzyj dziennikarskich, ostatni utwór Verdego jest tegoż samego ustroju i wartości muzycznćj, co wszystkie poprzednie jego utwory, z tą tylko różnicą, że temat jest więcćj zamglony i niezrozumiały, dla tego może mniej będzie miał powodzenia między... wirtuozami *de l'orgue de Barbarie*, którzy zazwyczaj większą oddają usługę operze włoskiéj, aniżeli cała jéj melodya i *mise en scène*. Mówiąc o Aidzie, nawiasowo wam wspomnę, że od niejakiego czasu między Verdim a Meyerbeerem wywiązała się pewnego rodzaju emulacya, w któréj pierwszy usiłuje zrównoważyć (?) i zaćmić (?) sławę drugiego. Nie będę wam wyliczał wszystkich tych małych śmieszności ludzkich, lecz ograniczę się na wskazaniu ostatnich utworów tych artystów. Tak gdy Meyerbeer napisał *Hugonotów*, Verdi wystąpił ze swym *Don Carlosem*, gdy tamten zrobił furorę *Afrykanką*, ten obecnie odpowiada *Aidą*. Niewiem jak daleko zaprowadzi Verdego emulacya z Meyerbeerem, ale lękam się bardzo, aby się na śmieszności nieskończyło, bo zasób Verdego jest dość ograniczony, i ciągłe arye znudzić się wreszcie mogą słuchaczom.

Przechodzimy wreszcie do ostatniéj części naszego założenia: to jest do rzeźbiarstwa i malarstwa. Wprawdzie Italia jest uprzywiliowaną krainą sztuk pięknych, i rzeczywiście z łona swego wydaje tylu dobrych i zdolnych w każdym rodzaju sztuki artystów, ilu żaden inny kraj poszczycić się nie może; powiem nawet, że wprawdzie Italia liczbą swych artystów i płodów artystycznych resztę świata zrównoważa, jednakowoż gdy obecny stan sztuk pięknych a szczególniéj rzeźbiarstwa i malarstwa porównamy z XV i XVI stuleciem, to jest z epoką *odrodzenia*, wyznać musimy, iż one są w upadku i nie mają żadnéj szkoły na wzór *weneckiéj*, *florenckiéj*, *rzymskiéj* etc., które dawniéj ze swego systemu, dążności i charakteru słynęły w świecie, a które od dawna już, że tak powiem, w żyjącéj tradycyi zwolenników i uczniów, zniknęły i tylko ze starożytnych zbiorów i galeryj publicznych dowiadujemy się o ich świetnéj i pożytecznéj egzystencyi.

Chcąc pojąć dobrze stan obecny sztuk pięknych, nieco w przeszłość myślą cofnąć się trzeba. Brak talentu twórczego i niewolnicze naśladowanie mistrzów tak ich jak Michał Anioł i Rafael z Ubina, którym pod żadnym względem ich następcy dorównać nie mogli, zrodziły śmieszny *barok*, głównie na przesadzoném i manierowém przedstawieniu rzeczy polegający. Chęć i usiłowanie powstania z tego upadku w początkach obecnego stulecia wytworzyły *realizm*, który się zasadza na pogodzeniu sztuki z rzeczywistością, a powstał tym sposobem, że artyści nie mając wzorów jakiegoś nowego twórczego talentu, naturę obrali sobie za przewodnika w swych studyach i téj się ściśle w swych dziełach trzymali. Z razu była nadzieja, że sztuka idąc tą drogą, to jest uszlachetniając i udoskonalając swe utwory, znowu przyjdzie do formy idealnéj, klassycznéj i tym sposobem nastąpi nowe jéj *odrodzenie* daleko trwalsze i gruntowniejsze, bo oparte nie na niemych wzorach mistrzów, ale na żywéj i wszędzie nas otaczającéj naturze, tylko odczutéj i pojętéj idealnie.

Niestety, rzeczy poszły innym torem: większość artystów idealizowanie natury, które w rzeczywistości niczém inném nie jest jak tylko szukaniem piękna w naturze, uznała za nie godne, i nie stosowne z duchem teraźniejszych pozytywnych czasów; inna część znowu starała się i stara uszlachetnić i podnieść swe twory, lecz bojaźliwie i nieśmiało idąc w kierunku obranym i nie chcąc na siebie obrażać swych kolegów pozytywistów, wytworzyła amalgamat w sztuce, polegający na zmieszaniu *realizmu z klassycyzmem*; wreszcie kilku tylko wybranych i rzeczywiście niespożytych talentów otwarcie wypowiedziało się za klassycyzmem, i poszli na przebój zaślepienia swych kolegów i materyalizmu swéj epoki. Koryfeuszem téj garstki, prawdziwym Leonidasem w Termopilach, dawniéj był Canova, obecnie Fedi, autor *Porwania Sabinek*, i Dupré, którego *Safo* może z najcelniejszymi tworami dawnéj Romy i Grecyi pójść w porównanie i pod każdym względem najsurowszą wytrzymać krytykę, i *Kain przestraszony morderstwem swego brata Abla*, który na zawsze pozostanie wiekopomném dziełem chrześciańskiéj sztuki, i tém większą zasługę i chwałę przynosi autorowi, iż dowiódł swém dziełem znakomitém, umieszczoném w oddzielnéj sali pałacu *Pitti*, że aby być klassykiem w sztuce, nie koniecznie potrzeba obierać przedmioty z mitologii lub historyi Starożytnego świata. Do przedstawienia i skreślenia obecnego stanu sztuk pięknych w Italii w samą porę przychodzi mi w pomoc recenzya nieznanego mi autora z zeszłorocznéj narodowéj wystawy sztuk pięknych w Rzymie. Artystyczny gust, mówi ów recenzent, narodów modyfikuje się i zmienia stosownie do zwyczajów i pojęć, i podobnie jak one w każdym wieku się kształci i łagodnieje. Dziś wzbudzają w nas odrazę te okrutne przedmioty, które dla naszych dziadów były delicyami. Nikt z nas bez zgrozy nie może patrzeć na jakiegoś Ś-go Bartłomieja odzieranego ze skóry, jakiegoś Ś-go Wawrzyńca pieczonego na ogniu jakiegoś Ś-go Szczepana kamienowanego, na jakiegoś Ś-go Sebastyana strzałami przeszytego, na jakąś Ś-ą Katarzynę wpleconą w koło. Powoli wracamy do cywilizacyi greckiéj, do pogańskich zwyczajów z epoki Peryklesa, kiedy śmierć muła, który dźwigał kamienie do Partenonu, była uznana za klęskę publiczną i uczczona ekspiacyjnym monumentem. Taka miła tendencya objawia się dzisiaj w dziełach pędzla i dłóta... W sztuce nowożytnéj nie ma rzezi, męczeństw, i innych sztuk katowskich, lecz jest sama miłość, pląsy, uśmiechy, wszystko to co, weseli i bawi. Ten jest charakter sztuki nowoczesnéj. Ludzie sami przez się są dostatecznie dzikimi, nie trzeba więc, aby sztuka dodawała bodźca do ich przewrotnych skłonności; lecz przeciwnie uśpienie ich powinno być zadaniem sztuki. Sztuka jest wyrażeniem i odbiciem piękna, używać jéj do wyrażenia cierpień, okropności i egzekucyj, jest to kazać się jéj wyprzeć swego prawdziwego zadania, jest to wynaturzyć ją i skazić".

Przytoczony ustęp dostatecznie maluje sposób traktowania i tendencye tutejszych *pseudo klassyków* czyli zmoderowanych realistów i *otwartych realistów*, o klassykach mowy tu być nie może, bo oni nic wspólnego z ogółem artystów nie mają. Pierwsi reprodukują bardzo miłe i wdzięczne utwory rodzajowe i są dość szczęśliwymi portrecistami, drudzy zaś, którychby bez żółci żadnéj nazwać można czcicielami Heinego, starają się skarykaturować i że tak powiem spotwarzyć nietylko sztukę we właściwém znaczeniu pojętą, ale nawet samą naturę, którą bez względu czy ona odpowiada wszystkim wymaganiom estetyki, wiernie z obranego sobie indywiduum czy też przedmiotu kopiują, a nawet karykaturują przez swe fantastyczne dodatki i uwydatnianie strony śmiesznéj i ujemnéj. Ostatniego rodzaju artystów możnaby jeszcze nazwać *cmentarnikami*, gdyż ich dzieła, zwłaszcza z pod dłóta wychodzące, tylko do tego kwalifikują się przeznaczenia, bo wiernie cyrklowo oddają kształty i rysy ich bohaterów, lecz nie umieją wyrazić ich charakteru, ich duszy. Z tąd też z pod ich dłuta wychodzące dzieła bardziéj posągów nagrobkowych mają charakter, aniżeli przedstawiają obraz żyjących istot, i dla tego utwory ich zawierając życie albo raczéj przedstawiając życie w śmierci lub też śmierć żyjącą, tylko na cmentarzu winny znaleźć pomieszczenie, a twórcom podobnych płodów miano *cmentarników* najstosowniéj w udziale dostać się powinno.

Lecz nie wdając się w klassyfikowanie utworów tutejszéj sztuki, ogólny jéj charakter da się zdefiniować w tém jednem słowie, *bezmyślność* i *brak* wszelkiéj wyższéj idei, którą tu zastępują kilku konwencyonalnemi tematami. Nie ma tu we Florencyi prawie ani jednego artystycznego studyum, w któremby się oprócz biustów i nagrobków nie znajdował jeden z następujących przedmiotów: dziewica lub w starszym wieku niewiasta czytająca lub trzymająca list miłosny, przedstawiona w różnych pozach i fazach toalety, zaczynając od zupełnego negliżu aż do sukni balowéj; Cavour lub Garibaldi zrobiony w popiersiu lub też w całkowitéj postaci, a w tym ostatnim razie tylko różność pozy i kostiumu stanowią całą nowość kreacyi; wreszcie Romeo i Julia, już to w gruppie, już osobno dostarczają niewyczerpanego materyału dla ciężkiéj i niepłodnéj, a raczéj niewolniczéj wyobraźni tegoczesnych artystów. Serwilizm w kopiowaniu natury tak dalece się tu rozwinął, że nie pozwala nawet wytworzyć się szkole historycznéj, jaką Vernet we Francyi a u nas Matejko tak szczęśliwie inaugurowali a do jakiéj nawet same dzieje w przeszłości ledwo co minionéj i że tak powiem z historycznego „wczoraj" obfitego dostarczają materyału.

WIADOMOŚĆ

O POSSESSYI W WARSZAWIE POD Nr. 2768 (*).

przy ulicy Aleksandrya,

dawniéj pałacem Słuszków zwanéj.

W epoce kiedy w skutek znacznego wzrostu ludności w Warszawie, w dawnym jéj od roku 1770 obwodzie, powierzchnia gruntów w possessyach musiała się stopniowo zmniejszać, a liczba domów w zabudowaniach wewnętrznych rozszerzać i zmieniać; znaczna także ilość z odległéj przeszłości dworców i pałaców, dziś zmieniła swą postać w téj stolicy. Jedne z nich bowiem z gruntu zostały przebudowane, wedle potrzeb i ozdób tegoczesnych; nader zaś mało pozostało takich, któreby od XVII wieku, zachowały dotąd swoją cechę staropolską. Między ostatniemi zaliczyć jeszcze można possessyę pod Nr. 2768 przy ulicy Aleksandrya położoną, która aczkolwiek różnym w ciągu swego życia dwuwiekowego uległa zmianom w swéj obszerności, sam korpus jéj atoli przemawia jeszcze do oka widzów, że magnat polski zbudował ją na własną siedzibę, dla wygody swego dworu, licznéj służby i swojéj nadwornéj gwardyi.

Część ta Warszawy gdzie niniejszy dworzec jest położony, bardzo mało przed wojną szwedzką (1655—1658) była zabudowaną. Domki i chałupy ubogich mieszczan, posiadłości gruntowe szpitalne lub ś. Krzyżkie, przedstawiały raczéj podobieństwo jakiejś wsi niż grodu zamożnego.

(*) Posessya ta w r. b. ma być zupełnie przebudowaną.

Lecz i te uległy zupełnemu zniszczeniu w czasie szturmów i oblężeń Warszawy, zwłaszcza w r. 1656, gdy Jan Kazimierz w miesiącach Czerwcu i Lipcu po dokonanéj processyi Bożego Ciała, z tego miejsca rozpoczął najsilniejszy szturm przeciw Szwedom zamkniętym w Warszawie.

Skutek jak wiemy uwieńczył dzieło, bo Szwedzi pokonani poddali się. Na pamiątkę tego zwycięztwa, które w dalszym przebiegu téj morderczéj wojny, znacznie już osłabiło siły Karola Gustawa, Jan Kazimierz po zakończeniu kroków nieprzyjacielskich i zawarciu pokoju Welawskiego, osadził w tém miejscu, gdzie szturm powyższy został rozpoczęty, K. K. Dominikanow Obserwantów w wybudowanym przez siebie klasztorze przy dawnéj kaplicy, nadawszy tytuł temu Przybytkowi Najświętszéj Maryi Panny Zwycięzkiéj (*). Erekcya ta nastąpiła przed samym złożeniem korony przez tego monarchę, to jest dnia 3 czerwca 1668 roku.

Wiadomo z dziejów narodowych, że gdzie tylko kościół z klasztorem został zbudowany, tam zaraz przy nim zaczęto bliżéj osiadać i budowle stawiać. Bogobojność pradziadów mając w bliskości dom Boży, tém silniéj przy nim skłaniała ich do przebywania. Temu zdarzeniu należy przypisać, iż Aleksander Przyjemski podstoli koronny wraz z żoną Zofią z Gąsiewskich, po nabyciu znacznych gruntów przy klasztorze Obserwantów, gdzie następnie Stanisław Staszic wystawił pałac pod Nr. 1320, wymurowali dla siebie i swego dworu dwór, nie okazały swoją wielkością, ale wygodny w całém znaczeniu dla magnata, mającego licznych dworzan, służbę i straż przyboczną (Donationum ks. 59 f. 895).

Po śmierci bezdzietnéj Zofii Gąsiewskiéj, posiadłość ta stała się około roku 1697 w drodze spadku własnością siostry jéj rodzonéj Teresy z Gąsiewskich Słuszkiéj, małżonki Józefa Bogusława kasztelana wileńskiego, hetmana polnego litew., starosty Lanckorońskiego i Pienianskiego. Słuszkowie byli wówczas skolligaceni z Wyżyckiemi, dziedzicami dóbr Jaszczowa i Starościc i obszernych dóbr, pod Lublinem położonych. W skutek więc działów familijnych między niemi, własność tę nabył potém Mikołaj Wyżycki biskup chełmski, zobowiązawszy się wypłacić Dominikanom Obserwantom złtp. 26,000 z tytułu, iż Teresa Słuszkowa kontraktem urzędowym z dnia 20 lipca 1697 r. odstąpiła całą tę posiadłość tymże zakonnikom.

Biskup nabywszy ten pałac, stósowne zmiany i ulepszenia w nim poczynił, a mianowicie nowe przyozdobienia pokoi w stylu religijnym, nowe oficyny dla ciągłéj służby wystawił; potrzebując zaś kaplicy nadwornéj jako dygnitarz kościoła, takową w obszernym swym ogrodzie znacznym nakładem i nader ozdobną zbudował. Kaplica ta przemienioną jest dziś na altanę, a katakumby w niéj grobowe zamieniono na lodownię.

Od czasu posiadania tego pałacu przez biskupa Wyżyckiego, wiele ozdób w pokojach i salach za niego uskutecznionych, przetrwało do naszych nawet czasów. Sądzimy więc, iż wierne ich przedstawienie z natury w chwili, kiedy apartamenta te będą przerabiane wkrótce na szpitalne, nabiera wartości dziejowéj budownictwa XVII wieku w Polsce.

Nastała potém w lat kilka druga wojna ze Szwedami, ośm lat niszczyła znów cały kraj a szczególnie Warszawę. Serce pęka z żalu czytając spółczesny dyaryusz wypadków tego miasta, jaki ogłosiliśmy w tomie VI *Starożytności War.* od str, 352. Nic dziwnego przeto, że Wyżycki biskup w takich kataklizmach Warszawy i kraju, wolał przesiadywać w swoich dobrach Jaszczowie lub Starościcach, gdzie mając bardzo bliżko swoją dyecezyę i krewieństwo, może więcéj nie pokazał się w swoim pałacu w Warszawie. Wkrótce bowiem umarł roku 1704 jak poświadcza Niesiecki. *(d. n.)*

(*) Obszerniéj o tém pisaliśmy w *Starożytnościach Warsz.* Tom III.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

O POKARMACH

WEDŁUG ODCZYTU VIRCHOWA.

(Ciąg dalszy, Ob. Nr. 34).

Uczeni nigdy nie przyjmowali téj teoryi ogólnie i bezwarunkowo. Ważniejsze jednakże przeciw niéj mówiące dowody dostarczone były zkąd nąd, ze strony mniéj więcéj profanów. Od dawna istniały całe narody żywiące się wyłącznie roślinnym pokarmem. W Europie nie przybrało to nigdy wprawdzie większych rozmiarów, ale i tu Pytagoras naprzykład w swéj szkole zniósł mięsne pokarmy; potém spotykamy często pojedyńczych ludzi karmiących się wyłącznie roślinami. W ostatnich czasach powstała kasta t. z. Wegetaryanów, nieliczna wprawdzie i rozproszona ale walcząca wszystkiemi dowodami nauki, z całą powagą wysoce moralnéj dążności. Ogłaszają oni pokarm mięsny za nienaturalny, wstrętny, niezdrowy i życiem własném dowodzą, że pokarm roślinny wystarcza do utrzymania życia ludzkiego. W swojem postępowaniu wegetaryanie są często niekonsekwentni: uważają za niezdrowe wszystko, co z zabitych zwierząt pochodzi, a używają mleka, miodu i t. d.; jaja zaś, jakkolwiek w świeżym stanie, należą do zakazanych, tak samo żywe ostrygi.

Nie zważając na te wszystkie sprzeczności, zasady na których Wegetaryanie się opierają, zasługują na bliższy rozbiór. Przedewszystkiem powołują się na ustrój człowieka, na budowę jego zębów. Rzeczywiście pod tym względem człowiek stoi bliżéj zwierząt roślinożernych, aniżeli mięsożernych, a gatunki małp zwane owocożernemi mają pod tym względem zupełnie być do człowieka podobne. Jeżeliby rzeczywiście podobieństwo takie istniało w zupełności i gdyby miało stanowczo wyrzekać o rodzaju pokarmu dla człowieka, to na jakiéj zasadzie dorośli wegetaryanie używają mleka, dla czego nie jedzą gotowanych kartofli i nie gryzą surowych ziarn zboża?

Ażeby dowieść owego podobieństwa w uzębieniu, powołują się zwykle na powagę Cuvier'a. Ale Cuvier uznając, że budowie zębów człowieka odpowiadają najbardziéj soczyste pokarmy roślinne, dodaje przytém: „od czasu wszakże, jak człowiek poznał ogień i nauczył się zdaleka chwytać i zabijać zwierzęta, mógł on już wszystkich istot żyjących używać dla siebie za pokarm, co mu dało możność rozmnożenia się do nieskończoności." Znakomity lekarz Graves wyraża się trafnie, że człowiek jest to jedyne zwierzę gotujące. Wegetaryanie, gotujący pokarmy roślinne, nie mają już prawa powoływać się na pierwotną organizacyę człowieka, a używający mięsa najwymowniéj, bo faktami dowodzi, że zęby jego są zdolne zgryść mięso po przyrządzeniu, a żołądek może je strawić.

Wszakże ustrój zębów, jak i u człowieka i roślinożernych zwierząt spotykamy, nie odpowiada wyłącznie roślinnym pokarmom: świnia i niedźwiedź, przedstawiają takież same uzębienie, a przechodzą od pokarmu czysto roślinnego do zwierzęcego. Wreszcie zęby wszystkich tych zwierząt i zęby człowieka wcale nie zgadzają się w szczegółach; nawet małpy „do ludzi dodobne" (antropomorficzne) bardzo się pod tym względem różnią od człowieka. Sąd Cuvier'a byłby zapewne inny, gdyby nie był oparty na znanych mu wyłącznie zębach młodych indywiduów.

John Hunter, jeden z najsumienniejszych badaczów przyrody, zauważył, że uzębienie nie zawsze odpowiada rodzajowi pokarmu przez zwierzę używanego, ani budowie żołądka; podaje natomiast, że budowa ust jest w ścisłym zawsze stosunku do sposobu chwytania i zatrzymywania pokarmu. Tą właśnie budową ust, któréj Hunter tak ważne przypisuje znaczenie, różni się człowiek od wszystkich innych zwierząt; im szlachetniejsza jest twarz człowieka, tém usta jego bardziéj w tył są cofnięte; wystająca naprzód szczęka nadaje fizyognomi wyraz zwierzęcości, od jakiego nawet najwyżéj stojące małpy nie są wolne. Dentysta amerykański Mac-Quillan w godnéj odczytania pracy stawia zęby człowieka w pośrodku, pomiędzy zębami zwierząt roślino-i mięsożernych i dla tego przyjmuje, że mięszany pokarm nie tylko zwyczajem ale i przez naturę jest mu wskazany.

Drugiego dowodu, na którym Wegetaryanie naukę swą opierają, dostarczają im dzieje ludzkości: pierwotni ludzie mieli wyłącznie roślin, na pokarm używać. Badania naukowe wcale tego nie potwierdzają. W jaskiniach francuzkich, należących do okresu lodowego, w budowlach na polach spotykamy kości naszych przodków, otoczone szczątkami kości zwierzęcych z troskliwie wydobytym szpikiem. Ślady polowania i rybołóstwa towarzyszą naszym badaniom do najdalszych okresów. Nomady długo prowadzili koczujące życie z trzodami, zanim stale osiedli na uprawionych rolach. Wprawdzie są szczęśliwe okolice, które natura rozrzutnie opatrzyła obfitym, gotowym pokarmem roślinnym, i gdzie ten dziki pokarm prawdopodobnie od pierwotnych czasów stanowi pożywienie dla ludzi; są to nie wielkie wysepki na Oceanie Południowym; jest wszakże rzeczą bardziéj niż nieprawdopodobną, aby te wysepki były kolebką ludzkości. Owszem, pokarm roślinny wraz z rolnictwem napotyka się zawsze obok wyższéj już oświaty. Rolnictwo pozwala na zgromadzenie się ludzi w jednem miejscu, niesłychanie ułatwia im zdobycie pokarmu, umoralnia i sprzyja rozwojowi oświaty. Pokarm więc roślinny należy do późniejszych już okresów dziejowych. Nawet w Indyach, na które wegetaryanie najczęściéj się powołują, prawdopodobnie polowanie i pokarm mięsny zabronionemi zostały dopiero przez późniejsze urządzenia i poglądy religijne.

Historya więc licznych dostarcza dowodów, że całe narody żywić się mogły wyłącznie albo przeważnie pokarmami roślinnemi lub zwierzęcemi. Ale taż sama historya jasno pokazuje, że największych czynów dokonały narody żywiące się pokarmem mięszanym. Organizm ludzki jest bardzo giętki, umie stosownie do okoliczności, poprzestać na tym albo owym pokarmie: pod równikiem karmią się ludzie przeważnie roślinami, pod biegunami prawie wyłącznie substancyami zwierzęcemi. Dla nas, synów umiarkowanego klimatu, odpowiednim będzie nie pokarm mieszkańców Sahary lub Grenlandyi, ale pokarm mięszany: idzie tylko o stosunek w jakim obu rodzajów pokarmu używać mamy.

Przytoczone fakta stanowczo obalają teoryą

szkoły chemicznéj, wedle któréj pokarm roślinny zarówno jak zwierzęcy jest niezbędnym dla życia. Szkoła ta oparła się wyłącznie na rozbiorach chemicznych, gdzie z natury rzeczy fizyologiczne doświadczenia najpierwsze mają znaczenie. A nawet i z czysto chemicznego punktu widzenia teorya ta ostać się nie może.

Zapomniano mianowicie, że organizm nie składa się wyłącznie ze związków azotowych. Cukier np. wchodzi w skład mózgu i mięśni. Daleko ważniejsze i rozleglejsze jeszcze znaczenie mają tłuszcze: stanowią one przeważną część składową szpiku kostnego, w tkance podskórnéj nadają okrągłość, piękność kształtom ciała, ochraniają je od szkodliwych wpływów mechanicznych, od zbytniéj utraty ciepła. Samo tworzenie się tkanek, rozwój ciała zwierzęcego, wymagają znacznéj ilości tłuszczu; dowodzi tego skład jajka i mleka. Jeżeli więc ciała bezazotowe tak ważną część składową ciała stanowią, nie możemy utrzymywać, że pokarmy roślinne wyłącznie do ogrzewających należą, a do odbudowania organów nie przyczyniają się wcale.

Szkoła chemiczna oparła naukę swą na pojęciu, że przy każdéj pracy organu następuje znaczna stosunkowo przemiana w jego składzie, że więc potrzeba znacznéj ilości pożywnych pokarmów, ażeby skład niezmienionym pozostał. Badania dokładniejsze wykazały, że ten rozkład przeceniono znacznie. Nawet stronnicy nauki chemicznéj czują się coraz bardziéj zmuszeni przyznać, że tylko mała ilość przyjętych ciał azotowych wchodzi rzeczywiście na tkanki, jako stała ich część składowa. Całe białko doprowadzone do tkanek należy rozdzielić na białko organiczne i zapasowe. Ostatnie łączy się z tlenem powietrza, jak bezazotowe pokarmy. Dr. E. Smith za pomocą rozbioru wydychanego powietrza wykazał, że ilość wydzielanego kwasu węglanego powiększa się przy obfitym pokarmie azotowym. Można więc bez wahania powiedzieć, że i pokarmy azotowe służą organizmowi jako materyał ogrzewający.

Cała więc massa pokarmów, nie daje się rozdzielić na dwie wyraźne gruppy. Mechanizm życia naszego, przez przywyknięcie tak urządzić się daje, że organizm z białka wytwarza potrzebne mu tłuszcze i cukier, albo z roślinnych pokarmów wyciąga dostateczną ilość potrzebnego mu białka. Ponieważ jednak zużycie tkanek w ciele jest tylko bardzo nieznaczne, więc dla zachowania zdrowia i zdolności do pracy białko nie jest tak konieczne, jak to w nowszych czasach powszechnie mniemano. Dla ogrzewania ciała, dla codziennéj przemiany materyi wystarczają zupełnie pokarmy roślinne; dla tego zasługują one zawsze na przeważne stanowisko między pokarmami.

Z powyższego jest widoczném, że oprócz odżywczych i ogrzewających materyałów, odróżnić trzeba w ciele trzecią klassę: materyał pracy, nagromadzony w tkankach i przyrządach.

Praca przyrządów, ich funkcye życiowe związane są ściśle z rozkładem związków chemicznych; ale nie cała tkanka ulega zniszczeniu przy pracy, tylko właśnie owe nagromadzone wśród niéj zapasy. Zapasy te są różne w każdym przyrządzie, stosownie do rozmaitéj ich funkcyi: inne są materyały dla pracy mięśnia, inne dla systematu nerwowego i t. d. Jeżeli zapas przez pracę się wyczerpie, zastąpić go muszą pokarmy. Jeżeli więc w organizmie przeważnie jeden albo drugi organ pracuje, to i jakość zużytych substancyi i jakość potrzebnych się zmieni. Należałoby więc zbadać, jaka powinna być dyeta dla ludzi pracujących umysłowo, jaka dla ludzi ręczną pracą zajętych, ale na to nauka dotychczas nie daje odpowiedzi. I w ogóle dyetetyka ściśle naukowa dziś jeszcze nie istnieje, wiemy tylko, że najstosowniejsze dla ludzi są pokarmy mięszane.

Od najdawniejszych czasów ludzie używali *przysmaków*, czy to w połączeniu z pokarmami istotnemi, czy też jako oddzielne potrawy. Niektóre z nich weszły w codzienne użycie i stały się, nawet w biednéj klasie, tak niezbędne jak pokarmy rzeczywiste, naprzykład herbata, tytoń i t. d. Wielkiéj liczbie tych przysmaków nikt istotnéj wartości pożywczéj nie przypisuje, jak tytoń, opium; co do znaczenia innych jednakże, co do kawy, herbaty, trunków gorących, nie tylko między profanami błędne panują pojęcia, ale i w nauce poważne toczą się spory.

Bardzo wielka część tych przysmaków zawiera trujące pierwiastki: nikotynę, alkohol, kofeinę i t. d. Nie trzeba téj okoliczności przeceniać, ani cenić zbyt mało. Nie masz w naturze żadnéj bezwzględnéj trucizny, żadnego ciała które w dowolnie drobnéj ilości użyte, działałoby trująco. Prócz tego do każdéj trucizny przez powolne używanie organizm się przyzwyczaja; ilość, która z początku trująco by podziałała, po pewném stopniowém przywyknieniu już nie zatruwa. Nie idzie jednakże za tem, aby przyzwyczajenie od wszelkich szkodliwych skutków uwalniać miało, jak to wielu sądzi. Przysmaki mają wywrzeć pewien wpływ na organizm; skoro wrażliwość organizmu na dany środek przez długie użycie stępieje, ilość używanego przysmaku musi się powiększyć; nakoniec przy użyciu tych przysmaków nie ma owéj miary, owego uczucia sytości, jakie sprowadzają pokarmy rzeczywiste; owszem, tu pierwsze użycie działa często jako bodziec tylko do używania dalszego: wszystko to sprzyja powolnemu zatruciu. (*d. n.*)

BIBLIOGRAFIA.

Rys badań o cholerze oraz o środkach w celu zapobieżenia jéj i ograniczenia podług Dra Lonis Poppeuheim. Napisał Stanisław Wojciech Łukowski b. student b. Szkoły głównéj Warszawskiéj. (Odbitka z Pam. Tow. Lek. Warsz.) Warszawa 1872.

Broszura ta raczéj jest treści hygienicznéj niż lekarskiéj, jest więc dla ogółu dostępną i zasługuje na rozpowszechnienie. Że tłomacz wybrał rzecz nie błahą, dowodzi tego zamieszczenie jéj w Pamiętniku Tow. Lek. Zresztą p. Łukowski zapowiada ogłoszenie kilku innych prac z dziedziny hygieny publicznéj — jeżeli równie dobrze wybrane zostaną i równie sumiennie odrobione, p. Ł. zapewne dobrze się ogółowi przysłuży. Inną atoli tu rzecz podnieść musimy; na okładce widzimy „*Odbitka z Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego*.“ Jakto rzecz popularna i do tego tłomaczona znajduje miejsce w Pamiętniku Towarzystwa Naukowego? Sądziliśmy, że tam się mieszczą tylko prace oryginalne, samodzielne, a zresztą sprawozdania z ruchu naukowego obcego, ale to kwestye unoszące się na wyżynach nauki, a nie rzeczy, które się rozstrzygają w szpaltach pism codziennych, bieżących. Jeżeli Pamiętnik potrzebuje artykułów do zapełniania szpalt, to niech raczéj ukazuje się rzadziéj, w odstępach luźnych, kiedy się zbierze dostateczna liczba materyałów, jak to jest zwyczajem wielu innych towarzystw naukowych. Dla przyzwoitości zresztą saméj niechżeż się tam nie ukazują artykuły popularne z obcych dzieł wyjęte. Powtarzamy, praca p. Łukowskiego jest w istocie pożyteczną, ale nie w pamiętniku dla niéj miejsce.

Treść: Powieści i opowiadania Erckmann-Chatriana, przez J. N. — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Przegląd Muzyczny Fuzy. — Korrespondencya Włoska (dokończenie). — Wiadomość o posessyi nr. 2768 w Warszawie Al. Wejnerta. — Ze świata Naukowego i społecznego, — O pokarmach według odczytów Virchowa (c. d.) — Bibliografia. — Ogłoszenie. — **Ryciny:** Wieczór, rzeźba profes. Schillinga. — Salony XVIII wieku w pałacu dawniéj Słuszków.—

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 17 (29) Апрѣля 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.